ROZMAITOŚCI.

Dnia 10. sierpnia, Nr 32. roku 1844.

AUTOMAT GADAJĄCY.

Cóż wziął w nagrodę za te prace umne?
— — — Trumnę!

Jesteśmy w wielkim ogrodzie. Niezmiernie wysoko ponad wysokiemi topolami rozpościerają się gwieździste niebiosa letniéj nocy. Srebrna poświata księżyca połyska po białym piasku ulic i miga po smukłych pniach drzew rozłożystych. W tém świetle przemienia się rzutny wodoskok w płaczącą wierzbę; wposkróś jéj pochylonego, ni kryształ świécącego wierzchołka przewija się wiatr nocny jak pieściwa ręka wposkróś jasnych rozplecionych warkoczy; z nim razem zawiéwa woń róż pobliskich.

Dwóch młodych przyjaciół siedzi przy wspólnym stole. Jeden z nich może miéć około dwudziestu pięciu, drugi około lat dwudziestu; starszy wypuszcza długi kręty obłok dymu z cygara, a młodszy z długiéj fajki tureckiéj Ostatniego nazwiemy Gideonem. Ma on czarny włos, głębokie pojęcie znamionujące czoło, bystre, demonijno-piękne oczy, około ust widoczne spragnienie użycia roskoszy świata. Zdaje się być sam w sobie zatopionym. Ale teraz mistrzowską ręką wywabione dźwięki z dalekiego fortepianu budzą go z zadumy. Dziwnie zajmujący walec brzmi w powietrzu. Początek jego jest ognisto hardy, koniec swawolny, pieściwy i tak omdléwający — jak piękna, urodziwa dziewica, która pod zwycięzkiémi pocałunkami kochanka blednieje i zgubioną się czuje.

Ow spragnienia wyraz około ust wystąpił teraz jeszcze mocniéj. — »O Boże, jakże ja namiętnie lubię muzykę!« rzekł Gideon do swego przyjaciela. »Ileż powabów niéma to życie! Poję się jego pięknością!«

»Mnie« — odpowiedział przyjaciel — »odmówiła natura zmysłu dla piękności muzyki. Wszystko mi jedno, czy zardzewiałe drzwi skrzypią, czy doskonała spiéwaczka jaką aryję wywodzi.«

»Tego pojąć nie mogę. Wszak jenijusz muzyki powinienby wszelkie serce przenikać. Żal mi ciebie zaiste; jedna z najserdeczniejszych, najroskoszniejszych uciech, piękniejsza połowa życia, jest ci nieznaną!«

I znowu Gideon zatopił się w swoję wewnętrzną głębię. I znowu się ztamtąd wydobył. Oczy jego spoczęły na jakiejś przechodzącéj postaci damskiéj. Z połysnéj, szelescącéj nocy czarnéj sukni wypływała jak najbielszy marmur pieściwie utoczona szyja, ciemny włos gładko zaczesany przylegał ciasno do skroni, z oczu przemawiała niewysłowiona tęsknota, nad niemi wznosiło się spaniałe, otwarte czoło, całe oblicze jaśniało niebem niewinności, a wszystko to było omglone bladą osłoną szlachetnych, spragnionych uczuć. Gideon ciągnął wzrokiem długo, długo za tą postacią, aż nareszcie zniknęła mu zupełnie poza drzewami. Teraz obrócił się do przyjaciela, wziął go za rękę i rzekł ponuro, z najżywszém utęsknieniem:

»Ach, ja nie jestem szczęśliwy!«

»I czemużto?«

»Taka istota, jak owa, moją być powinna.«

»Byłato sławna artystka E...,« odrzekł przyjaciel. Bądź śmiałym, spróbuj szczęścia, oświadcz jéj swoję miłość. Inaczéj nie może wiedziéć, czy żyjesz na świecie. Smiałym, szczęście w pomoc idzie.«

Gideon roześmiał się i nic mu na to nie odpowiedział.

»Tam oto idzie hrabina M.,« odezwał się przyjaciel. — Jeżli poprzednia postać uoso-

bioną prostotą była, tedy postać hrabiny M. uosobioną spaniałością słuszniėby nazwać można. Nie jestto piękność regularna, lecz nader ujmującéj twarzy; widzisz dwoje czarnych płomiennych, zabójczych oczu, z czarnych bujnych włosów i zprzed zanadrza biją iskrzącym blaskiem dyjamenty, wokoło łabędziéj szyi lśnią się rzędy dużych pereł, wokoło milutkich palców owija się połysne złoto licznych pierścieni.

Nastąpiło krótkie milczenie. Gideon powrócił znowu w tajemniczy świat swojéj piersi i tonął w nim coraz głębiéj i głębiéj.

»Cóż ci jest dzisiaj ?« zapytał go przyjaciel. »Cóż tam za czyny rozmyślasz w sobie ?«

»Piekielne !« odparł Gideon.

»Niech je usłyszę !«

Gideon milczał przez chwilę; w końcu tak się odezwał:

»Pojednałem się nareszcie z sobą. Trzy rzeczy władają światem: Piękność, bogactwo, jenijusz. Chciałbym pozyskać poklask świata, chciałbym do dna wychylić królewski kielich upajających roskoszy życia. Nie jestem pięknym, bo niémam słusznego wzrostu. Natura odmówiła mi téj zalety. Więc dobrze. Niech ją sobie inni chwalą jako troskliwą matkę, ja zowię ją okrutną. Nie jestem też bogatym. Sam mi tylko jenijusz pozostał. Zbyt przedwcześnie dojrzałem. Od mojego szesnastego roku obudziło się coś we mnie, na czém się długo poznać nie mogłem. Ono tam igrało, tłumiło się, gorzało, kwiliło, płonęło gniewem we mnie, jak gdyby w drugim Fauście. Piersi moje chciały niby jakiś duchowy utwor wśród ciężkich bolów porodzić. Ażem się w końcu obliczył z sobą. Zapytałem się sam siebie: Czegoż żądasz dziwny człowiecze? Powinieneś już się raz zrozumiéć. Jestżeś poetą? — Lubię wprawdzie poezyję, lecz nie jestem poetą. Jestżeś muzykiem? — Lubię namiętnie, do zapamiętałości muzykę, ale cóż mi potém, kiedy nie jestem wstanie nic sam utworzyć. Czujeszże w sobie talent rzeźbiarza? — Lubię owe blade postacie, wykute z miękkiego, kosztownego marmuru, ale po wieki wieków nie zostanę rzeźbiarzem. — Jestżeś malarzem? — Nie, nie jestem nim. — Czujesz może w sobie powołanie na śpiéwaka? — Nie! — To może na aktora? — Nie! — I czegoż tedy żądasz? Długom sobie odpowiedziéć nie umiał, teraz już wiém i czuję. Teraz myśl moja wypłynęła jasno z głębi i stanęła mocno na widni przedemną, teraz mi świéci pełń księżyca na czystych niebiosach nocy. Chcę się wkraść do pracowni twórcy, chcę mu odpatrzyć jego twórczy sposób umnictwa. Dziwisz się? Jeszcześ nie pojął przyjacielu, co chcę przezto powiedziéć; spodziéwam się jednak, iż za trzy lata ujrzysz coś tajemniczego, coś cudownie utworzonego przezemnie.«

Ironiczny uśmiéch zaigrał około ust przyjaciela. Żartował sobie z wyrażenia: Wkraść się do pracowni stwórcy — odkraść mu sposób twórczości! — »No, jestem w saméj rzeczy ciekawy, — jak ty do tego niedocieczonego mistrza podkraść się zdołasz! Tylko miej się na baczności, aby on ciebie, jako jego dzieł partacza, nie wygnał z swojéj pracowni, aby ci nie poraził oczu swą błyskawicą, nie zesłał swego piorunu na głowę twoję!«

»Tego on nie uczyni!« zawołał Gideon. »On ma upodobanie w naturach prometejskich.«

»Ha, jestem tedy ciekawy. Za trzy lata pomówimy znowu o tém.«

Odtąd widywano Gideona bardzo często w sali anatomicznéj. Kupił sobie aparat do swoich studyjów: byłato ludzka głowa z gardzielem.

Po upływie lat trzech nie zapomniał przyjaciel. Przyszedł do Gideona i spytał go: »Cóż robisz? Czyś już odkradł sposób twórczego umnictwa bosko-straszliwemu mistrzowi w jego pracowni?«

»Nie można tego zrobić tak prędko, jakem się wtedy spodziéwał;« odpowiedział Gideon. »Ale przyjdź po trzech latach, i dowiédz się znowu.«

Po trzech latach przyszedł znowu przyjaciel: »No, jakże tam, obkradłeś stwórcę w jego pracowni?«

Gideon odrzekł: »Bądź cierpliwym! Stoję już pośród boskiéj pracowni; natężam moje sokole oko, śledzę nieustannie, mam niezmordowaną wytrwałość. Ale jeszcze nie czas, dowiédz się znowu za cztéry lata.«

Przyjaciel kiwnął niewiernie głową, ale

przyrzekł czekać. Gdy oznaczony czas minął, przyszedł przyjaciel do Gideona i zastał go właśnie zamykającego swoję tajemniczą pracownię. Tylko jakiś szkarłatny odblask łysnął z niéj, i już była zamknięta. To samo pytanie. Gideon odpowiedział: »Oto już dziesięć moich najpiękniejszych lat pracuję bez ustanku, a wieniec nagrody daleko ode mnie jeszcze, bardzo daleko! Jednak nie rozpaczam. Musisz jeszcze trzy albo cztéry lata poczekać!«

Teraz już opuściła cierpliwość przyjaciela. Miał on Gideona za człowieka który chce wynaleźć kwadraturę koła, lub dojść sposobu bielenia murzynów. »Będziesz potrzebował metuzalemowego wieku,« rzekł do niego, »a jeszcze nie wkradniesz się do pracowni stwórcy!«

I znowu cztéry lata minęły. Aż oto jednego wieczora wezwał Gideon swoich przyjacioł i znajomych do siebie. Zebrane towarzystwo wstąpiło ciekawie do salonu łagodném światłem oświéconego. W głębi widać było czarną aksamitną zasłonę, która jakąś tajemnicę ukrywać się zdawała. Nagle zasłona się rozemknęła. Poza nią okazała się postać pięknéj, urodziwéj dziewicy, z twarzą z wosku ulaną, z czarnémi splotami włosów, białém, spaniałém czołem, czarnémi oczyma, różowémi ustami; siedziała wsparta na ręce spoczywającéj łokciem na wezgłowiu szkarłatnéj sofy, po któréj biała jéj szata w rzęsi tych przegubach spływała. U jéj boku rozkwitała stulistna róża. W tyle za dziewicą stało bogato oprawione źwierciadło, w którego nieruchomym, jasno-śrebrzystym stoku, czarne sploty włosów i smukła jéj kibić milo się powtarzały. Do odwrotnéj strony sofy była klawiatura przymocowana. Twórca tego dzieła wystąpił, i szukał oczyma przyjaciela swojego. Ten powstał i rzekł: »Utworzyłeś bardzo piękną postać dziewiczą. Jestto istotnie bardzo udatne, romansowe stworzenie z wosku, druga Galatea, w któréjbyś jak niegdyś ów urojeniec Pigmaleon, mógł się zakochać. Ale nie spodziéwamy się przecież, abyś wykonaniem téj, chociaż z wielu względów mistrzowskiéj pracy, myślał się z owych słów twoich usprawiedliwić: »Wkradnę się do pracowni stwórcy!«

»Zaczekaj przyjacielu!« zawołał Gideon. »Dziewicy, którą tu widzisz, jest władza mowy dana. Mówi ona wprawdzie bardzo jednotonnie, lecz jak człowiek istotny. Pomów z nią tylko.«

Gideon przystąpił do klawiatury a przyjaciel zadał tajemniczéj figurze następujące pytania:

»Jakże długo jesteś na świecie, piękna dziewczyno?«

Dziewica otworzyła różane usta i rzekła jednotonnym, powolnym lecz zrozumiałym ludzkim głosem: »Miesiąc, mój panie!«

»Jakto, miesiąc dopiéro? A jużeś taka duża i piękna?«

»Jak Pallas Athene z głowy Jowisza, wyskoczyłam już gotowa z mózgu mojego ojca.«

»Któż jest twoim ojcem?«

»Gideon, ten sam o którym mniemałeś że chce wynaleźć kwadraturę koła albo sztukę bielenia murzynów.«.— Pytający uśmiéchnął się zawstydzony.

»A kto jest twoją matką?«

»Umnictwo — nieustanne dochodzenie natury — niezmordowana, niewysłowiona cierpliwość — złóż jéj z tego nazwisko.«

»Czy już kochasz, piękna dziewczyno?«

»Nie kocham i nie będę nigdy kochała.«

»Dla czegoż?«

»Ponieważ mi serca nie dano.«

»Więc podzielasz podobny los z wielą istotami swego rodzaju.«

»Możebym i wtedy nie kochała gdyby mi było serce dane.«

»Czemuż?«

»Ponieważ rzadki jest taki mężczyzna, któryby czarodziejską sztukę miłości serdecznie uczuł i jenijalnie pojął, któryby się całą duszą w głębię tego roskosznego morza zatopił, któremuby miłość poezyjną potrzebą, a błoga cnota wierności niezbędną ozdobą była!«

»Odkryj mi tajemnicę twojego urodzenia.«

»Tego może nikomu na świecie nie odkryję i z sobą do grobu wezmę.«

»Jakież życie prowadzić myślisz?«

»Będę podróżowała i mojego ojca bogaciła. Bądź zdrów.«

Aksamitna zasłona zasunęła się nagle. Gideon wstąpił znowu pomiędzy gości. Wszyscy go podziwiali, wszyscy mu szczęścia

życzyli. Przyjaciel wziął go za rękę, uścisnął ją serdecznie i rzekł: »Dotrzymałeś słowa, podsłuchałeś i odpatrzyłeś istotnie twórcę w jego pracowni. Teraz możesz z twoją tajemniczą istotą jeździć po świecie, nagroda cię nie ominie, i otoczony blaskiem bogactwa, wrócisz nazad do swéj ojczyzny.«

Umnik pewien chwały i nagrody, pojechał z swoją figurą w świat. Lecz podróży jego nie towarzyszyły przyjaźne losy. W pierwszém mieście, gdzie swój gadający automat na publiczny widok wystawił, zajęła trupa linoskoków ze swémi karkołomnémi sztukami, całą uwagę publiczności. W drugiém mieście cisnęły się tłumy ciekawego ludu do teatru, na którym psy i małpy podrzeźniające role odgrywały. W trzeciém mieście biegli wszyscy rozdziawiać gębę, do budy, gdzie się znajdowała dziewczyna, co tak nieszczęśliwą była, że się bez nóg i rąk urodziła. W czwartém mieście nie kochano się w niczém inném jak tylko w koniach, włoskiéj operze, lub owym zachwytnym wdzięku jaki sprawia podniesiona noga tancerki. W piątém mieście uznały damy, że ten wynalazek jest zbyt przerażający i straszny, działa zgubnie na nerwy i lepiéj jest go niewidzieć. W szóstém nareszcie sądzono, że automat gadający jest w saméj istocie osobliwszą rzeczą, zégar jednak lub skrzynia, która sama z siebie całe uwertury odegrywa, są przecież daleko większą sztuką. I tak działo się wszędzie. Anatomowie, lekarze, artysci, poeci, miłośnicy umiejętności zwidzali wprawdzie figurę Gideona, — ale ich była mała liczba, a wielki gmin ani się pokazał.

Nareszcie przyszedł jakiś wieśniak ekonom. Przysłuchał się gadaniu automata, oglądał dziewicę długo przez oknlary, kiwał głową jak pagoda chińska, zdiął okulary, przetarł śkiełka czerwoną jedwabną chustką pełną żółtych chińczyków, dumał, sapał, spojrzał ku ziemi, westchnął, założył jeszcze raz na nos okulary i rzekł wreszcie: że to jest osobliwszy, prawdziwie sztuczny wynalazek. Większą jednak osobliwością jest to: jak można było poświęcić tyle drogiego czasu na sporządzenie figury, która tak mało jest użyteczną, czyli raczéj na nic się wcale światu nie przyda! W tym samym czasie można było wynaleźć jaką nieśmiertelną maszynę pługową, lub jaki piec, któryby wiele drzewa zaoszczędził, albo tyle innych rzeczy, któreby się do praktycznego życia przydały. Smiertelnym zaś jest grzéchem, po takim długim czasie nie przysłużyć się światu czémeś lepszém jak tylko taką próżniacką dziewicą z wosku.

Gideon odpowiedział iż mu z téj odrobiny łaciny, jakiéj się w szkole nauczył, zostało tylko to przysłowie: »*Si tacuisses philosophus mansisses.*«

I oburzony, ponury, złożył swój gadający automat do paki i wrócił z nim do swéj ojczyzny. Ustawiwszy dziewicę znowu w swoim pokoju, rozsunął czarną zasłonę i rzekł do niéj z przytłumionym gniewem: »Nie dotrzymałaś mi przyrzeczenia. Nie przyniosłaś mi bogactw!« — A lekko zapłoniona dziewica patrzyła nań niemo swémi czarnémi oczyma. Wtém przemówił jakiś tajemny głos w jego piersi: »Może ona ci coś lepszego, może ci ona miłość przyniesie?«

*

W tych dniach bowiem, gdy sobie w jego rodzinném mieście życzono znowu widzieć jego automat, zapoznał się był Gideon z pewną damą. Byłato kobiéta, jakich mężczyźni zwykle nie lubią, to jest kobiétą z charakterem mężczyzny; przynajmniéj za taką ją miano. Jednakże Gideon zachwycał się nią niewymownie, widząc ją samę jednę, w białéj, szérokiéj sukni, która się jéj ni para napuszonych łabędzi u stóp wzdymała, powodzącą dwoma ognistymi karymi rumaki, które jak pogoń ducha nocy po ulicach miasta pędziły. Równie piękną wydała mu się na koniu, gdy jéj długa zielona suknia, obciskująca jéj piękną kibić, spływała aż ku ziemi. Jéj jasnobrunatne oblicze, równie jak jéj cała postać, nie miały w sobie nic miękkiego, i owszem odznaczały się niejaką cechą silnego młodzieńca. Włosy jéj były ciemnawéj barwy, oczy jak dwie głębokie, płomienne tajemnice, czoło pełne szlachetności, usta świéże i mocno wcięte, a wokoło ust zarys nadzwyczajnie ujmującego wdzięku. Miewał on sposobność widywania jéj częściéj, mówienia z nią i poznania jéj coraz lepiéj. Coraz téż więcéj go zachwycała.

Jednego razu zdarzyło się, iż mógł sam na sam z nią pozostać. Natenczas nabrał odwagi, przystąpił do swego automatu i zagrał na klawiaturze. Dziewica z wosku otworzyła swe usta i rzekła: »Słuchaj mię piękna damo! Ten który przeze mnie mówi, kocha cię z całéj duszy! Proszę cię, nie gniewaj się na niego; lecz daj mu łaskawą, miłą odpowiedź i wyznaj mu czy go możesz nawzajem kochać!«

Urocza istota owa była mocno tém zdziwiona; szkarłatny rumieniec oblał jéj brunatne, ponure lice; poczém namyśliła się — łagodny powion czułości przeniknął jéj serce — stała się przyjazną — uprzejmą, bardzo uprzejmą i miłą — i prosiła Gideona, aby ją sposobu grania na téj klawiaturze nauczył. Jakże radośnie podjął się téj nauki, z jakąż niewymowną cichą pociechą dawał jéj te dziwne lekcyje muzyki! Nie długo potrwało, a umiała już bardzo dobrze urabiać te czarodziejskie klawisze.

Gdy więc ów roskoszny wieczór już nadszedł, kiedy mu jego uczenica miała dać pożądaną odpowiedź — i gdy ubóstwiona kochanka stanęła nareszcie za automatem, gdy już usiadła i spuściła piękne swe palce ku klawiaturze — wówczas zamilkło wszystko w pokoju, serce Gideona biło gwałtownie jak jeszcze nigdy w życiu; wówczas pobladł nito trup jaki. Zdawało mu się jakoby teraz miał być na śmierć lub na niewysłowione szczęście skazanym. Dziewica z wosku z lekkozapłonioném obliczem siedziała przed nim jeszcze cicha i niema, jakby grób kwitnący. Jeszcze mógł mieć nadzieję. Aż oto otworzyła różane usta i zaczęła mówić jednotonnie, powoli i zrozumiale: »Odpowiém ci na twoje zapytanie. Lubię cię szczérze, szanuję twój umysł i rzadki talent — lecz miłości twojéj odwzajemnić nie mogę, gdyżem już innemu mężczyźnie serce moje oddała. Zapomnij więc o mnie. Jestem pewną, że znajdziesz inne, która cię więcéj uszczęśliwi, niżbym ja była w stanie.«

Gdy Gideon sam pozostał, oblekło się jego piękne, męzkie oko mgłą ponurego żalu i zapłakało. Nie chciał i nie mógł o niéj zapomnieć. Głęboko zadumany uchylił czarną aksamitną zasłonę, usiadł przy klawiaturze, a dziewica wygłosiła następującą piosenkę:

Ty dziewczyno z obcéj ziemi,
Ty w zielonéj, strojnéj szacie,
Co tam pędząc na bachmacie
Tak mię mierzysz oczmi twemi,

Cóż tak na mnie patrzysz dumnie?
Ach oboje legniem w trumnie,
Ach obojgu jasne oczy
Grób zaciemni, czerw roztoczy!

Luboś piękna, luboś młoda,
Zniknie, zwiędnie twa uroda,
Bo to życie śmierci łupem,
Dziśeś piękna, jutro trupem!

A szalona burza świata
Twe popioły porozmiata,
Że jak drobna łzy kropelka
Wieść o tobie zginie wszelka!

Znów się wiosna zazieleni,
Wrócą znowu mgły jesieni,
Uschnie znowu kwiat cmentarny,
A z nas tylko — cień — sen marny!

Ach, na myśl tę, rozpacz dzika
Bolejącą pierś przenika,
Słoną łzą się oczy pienią —
Lecz wyroku nie odmienią!

Szczęsny przeto, kto to życie
Złożył w darze cnéj kobiécie,
I miłości wieczną siłą
Tworzy raj tu — nad mogiłą! — —

Nadszedł dzień zaślubienia jego kochanki. Gideon wstąpił do kościoła i stanął poza słupem; — w pomroku gockiéj świątyni lśniła się jéj biała ślubna szata. Po raz ostatni ujrzał owe ciemnawe, ozdobnie zaczesane włosy, owo płomienne oko, owe świéże, zaciśnięte różane usta, ów blask młodości na surowém, dziewiczém licu, i tę smukłą budowę ciała w powiewnym, roskosznym stroju.

Aż oto połyśnienie ślubnych pierścionków przeraziło mu oko i przeszyło boleśnie serce. Chciał był już aby co prędzéj potężne zabrzmiały organy i zaklęły tego złego w nim ducha niepokoju, który nieustannie mu skrycie szeptał: »Już stracona dla ciebie nazawsze!« —

Rozwichrzona fantazyja jego nie dała mu spoczynku. Wstał o późnéj godzinie z łoża, przystąpił do okna i spoglądał z niewymowną tęsknotą w roskoszną północ. Dziwotworne obrazy fantazyi powlekły śmiertelną bladością jego lice.

Rozsunął czarną aksamitną zasłonę, usiadł przy klawiaturze, a w głuchéj ciszy ciemnego pokoju wyrzekła dziewica grobowo-jednotonnym głosem te słowa: »Już zaślubiona!«

Poczém powstawszy obrócił się ku dziewicy i rzekł z ponurym gniewem: »Niewdzięczna, nie dotrzymałaś mi słowa. Nie dopełniłaś ani jednego przyrzeczenia. Aniś mi bogactw ani miłości nie dała. Serce moje wycierpiało całe

piekło mąk tantalowych i zbladło z upragnienia jak biała, uwiędła róża. Poświęciłem ci tyle najpiękniejszych lat mego życia, a tyś mię niewdzięcznością wynagrodziła. Ale przysięgam ci, że weźmiesz moję tajemnicę z sobą do grobu! Zamilknij na wieki! Przepadnij w wieczystéj nocy — i zostań w pamięci świata jako dumna, samotna tajemnica!«

To mówiąc pochwycił artysta młot żelazny, bolejące oko jego rozświéciło się śród czarnéj nocy, podniósł ramię, uderzył — a pełna sztuki, z mozolną pracą i niewypowiedzianą cierpliwością utworzona budowa — runęła w gruzy.

W dni następne rozbiegła się stoustna wiadomość po większéj części świata, iż Gideon w przystępie obłąkania zniszczył swój cudowny automat gadający, a nieszczęśliwy jego twórca zniknął z towarzystwa ludzkiego i zakończył życie; nie wiedzieć tylko czy na dnie głębi, czy od ołowianéj kuli!

Syn na grobie matki.

Drogim był mi pobyt twój matko na ziemi,
W nim oglądać mógłem pewność losu mego....
Lecz w téj chwili znikły roskosz, radość — z niemi
Żegna się dziś serce syna strwożonego!

Ty, żyjąc tu ze mną, brałaś mię do łona
Macierzyńskich uczuć, tam gdzie serce biło:
Dzisiaj, ciebie niéma — zgasła ma ochrona
Szczęścia, w grobie ziemi, pod zimną mogiłą!

Zaciemnił się promień mych słodkich nadziei,
Uleciały myśli błogiego wspomnienia!
Do obecnéj jeno méj życia kolei
Spływają łzy moje... w żałobie westchnienia! —

Losu przeciwności grób ci utworzyły,
Odebrały życie, a mnie matkę drogą!
O czemuż cię chęci me nie uzdrowiły,
Nie wróciły życia, gdym się poił trwogą! —

Matko! cnót twych wzorze, zgon twój żalem znaczę
Poniosłszy tak drogą życia twego stratę!
Zgasłaś dla mnie — Matko! Tu cię nie obaczę,
Twą grobową chyba łzami zwilżę szatę!

Ty, coś mię nad życie swe kochała w świecie,
Przywiązanie do mnie czytałem w twéj twarzy;
Jużeś nam stracona, w życia krótkiéj mecie,
Rwie cię ręka śmierci do wiecznych ołtarzy! —

Pełne żalu były ostatne twe słowa:
»Bóg niech błogosławi życie synu twoje,
»Niechaj gwiazda szczęścia przyświeca ci nowa,
»Jaśniejsza od słońca, czystsza nad łzy moje.
»Przyjm tę łzę twéj matki o synu jedyny!
»Weź ją na pamiątkę, gdy skrapiam twe skronie;
»W żalu cię opuszczam, ach!.. biją godziny,
»Gdzie mi Bóg łaskawie ma stanąć w obronie!« —

Opuściłaś syna i drogą rodzinę,
Już cię czarne śmierci osłaniają cienie —
Przeniosłszy się w lepszą — w niebianów krainę,
Bolesne po sobie zostawiasz wspomnienie!

Twa troskliwość o mnie, za życia świadczona,
Tkwi w duszy głęboko, wiecznie tam tkwić będzie;
O, bądź matko pewną, powieka stęskniona,
Okiem łez pełném szuka ciebie wszędzie!

Gdy cię głos mój do mnie przywołać nie może,
Żegnam ciebie matko na tym świeżym grobie;
Wieniec Twéj nagrody daj ci znaleźć Boże,
Pamięć w mojéj duszy zostanie po tobie!

Felix Alexandrowicz.

Odpowiedź.

Kochanko moja! u wiejskich chat —
Bo go niesłusznie z parków wygnano —
Rośnie bez woni wysoki kwiat,
Nazwę od słońca mu dano.

Gdy wschód rumieńcem płoni się zórz,
I w złotym progu gościa wygląda,
Kwiat ów, najrańszy na ziemi stróż,
Piérwszy powitać go żąda.

I kędy blasku jawi się cud,
Zwilżony rosą kielich zawraca:
Rzekłabyś, patrzy, jak niebios zwód
W ogniu się słońca pozłaca.

Gdy w jego kielich promienny wzrok
Pełne i długie ześle wejrzenie,
Otrząsa rosę, i radby w skok
Wystrzelić w niebios sklepienie.

Słońce od wschodu w podniebny łuk
Szumnym się zwolna wznosi pochodem —
Już mu południe zaściela próg,
I ziemia tęskni za chłodem.

Kwiat ów za słońcem w jarzący tór
Wyłamał kielich w sam szczyt sklepienia;
Mdlejąc pogląda w słońce bez chmur,
Nie pragnie chłodu ni cienia.

I tak bez przerwy w błękity śle
Swą tajemniczą, cichą rozmowę —
Patrzy za słońcem: w zachodu tle
Już ono barwi swą głowę.

W zachodniéj bramie ostatni ślad
Złocistéj słońca kryje się szaty:
Kwiatby z łodygi zerwać się rad,
Porzucić grzędy i chaty.

Lecz musi zostać; opuszcza w dół
Zamierzchłą głowę, smutno ją słania,
Jak gdyby sercem człowieka czuł
Boleść i smutek rozstania......

Kochanko moja! zagadkaż-to,
Za com weselsze niegdyś miał oko,
A za co teraz zasute mgłą,
Przyćmione żalu powłoką?

J. Z.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 32. i obejmuje: 1) O wystawie wyrobów przemysłowych całéj monarchii austryjackiéj, odbywać się mającéj w instytucie politechnicznym w Wiédniu od 15. maja 1845. roku zacząwszy co pięć lat. 2) O handlu wołowym. 3) Zapalenie śledziony u nierogacizny. 4) Sposób robienia syropu ze śliw węgierskich. 5) Wiadomości handlowe: Odessa 19. i 25. lipca 1844. 6) Kiedy siać groch?

Z Warszawy. *Przeglądu naukowego* Nr. 14. zawiera: O potrzebie założenia u nas bibliotek i stowarzyszeń agronomicznych na wsi; przez Au. Wi. — Filozofija. Rozbiór zasad Szellinga. — Poezyje: Miłość wieszcza, Kwiatek polny, przez Malczewskiego. — Kronika piśmiennicza polska: Oblubienica Messeńska, przekład Bronisława Trentowskiego. — Pan Dezydery, powieść Podwysockiego. — Władysław, szkic historyczny p. Czarnockiego. — Athenaeum Kraszewskiego na r. 1844. — Dwa dzieła dokt. T. Heinricha. — Niezabudka, noworocznik wydany w Petersburgu. — Nowiny.

Biblioteka Warszawska na miesiąc lipiec zawiera: 1) O temperaturze źródeł w okolicy Warszawy, przez Jerzego Bogumiła Pusza. 2) Wyjątki z dramatu Alexandra Przezdzieckiego, pod nazwiskiem: Jadwiga. 3) O skamieniałościach, przez Ludwika Zejsznera. 4) Owidyopol, Dniestr i Akierman, przez Kraszewskiego. 5) Rzut oka na Podhalan, przez L. Zejsznera. 6) Poezyje: Hrabia z Habsburga, balada Szyllera z przekładow Minasowicza dotąd nie wydanych. — Dzień przez Maurycego Gosławskiego. 7) Rozmaitości. 8) Kronika literacką. 9) Kronika zagraniczna. 10) Kronika bibliografijna. 11) Doniesienia literackie. 12) Dostrzeżenia meteorologiczne w obserwatoryjum astronomiczném warszawskiém za maj 1844.

Przetworzenie sztuki drukarskiéj. *Pierre Leroux* usunąwszy się zupełnie od redakcyi pisma »*Revue indépendante,*« długo o sobie nic słyszéć nie dawał. Tylko w niektórych nowszych dziełach pani George Sand odzywają się jeszcze jego filozoficzne teoryje. Natomiast miał się w swojém odosobnieniu zatrudniać szczérze wydoskonaleniem swego niedawno ogłoszonego wynalazku prościejszego sposobu drukowania, który chce wkrótce objawić. Wielu utrzymuje iż ten wynalazek zupełnie inną postać sztuce drukarskiéj nada, i że odtąd będzie mógł każdy z taką łatwością drukować, jak teraz pisze. *Leroux*, który się był już za młodu wyuczył drukarstwa i wiele lat późniéj niém się zatrudniał, chce się w tém swojém dziele uniešmiertelnić jako filozof i drukarz. — Współcześnie z tém doniesieniem w pismach francuzkich, podał hamburski drukarz Menk prośbę do szweckiego handlowego kolegijum o wydanie mu patentu nanowo przez niego wynaleziony sposób sadzenia czcionek w druku. Główną korzyścią tego nowego wynalazku jest ta, iż wprawiony w ten sposób zecer może trzykroć prędzéj pracować niż dotąd zwykle, gdyż podług tegoż nowego sposobu, sadzi się nie pojedyńczémi już czcionkami, lecz zgłoskami i całémi słowami.

Ulepszenie w maszyneryi teatrów. Pismo »*Revue de Paris*« zawiera co następuje: Od dawna już zwracano uwagę dyrektorów teatralnych na różne nowe urządzenia, których zaprowadzeniem powiększyłaby się nadzwyczajnie illuzyja sceniczna, a to przez zaprowadzenie istotnych sufitów, i przez ten sposób: iż tylko jeden maszynista siedząc przed umyślnie na ten koniec przyrządzoną maszyną, kierowałby za jéj pomocą spuszczaniem kurtyn i wszystkiémi ruchami dekoracyj. Myśl tę podał najprzód dowcipny feuilletonista Teofil Gautier, a zastosował ją w części po raz piérwszy nowo otwarty *Théâtre des nouvautés* w Bruxelli. Zwyczajne, dotąd niebieskiem płótnem zastąpione wyobrażenie nieba, przedstawiają tamże teraz niebieskoświetno-malowanem półkolistém, sklepieniem; chmury i burze przedstawiają się w razie potrzeby za pomocą wielkiéj magicznéj latarni, która zadziwiające sprawia wrażenie. Wspomniona wyżéj maszyna wszystkiémi ruchami dekoracyj kierująca, stoi pod sceną i stosuje się do dawanych przez dyrygenta znaków. Toż samo reszta potrzebnych jeszcze maszynistów zostaje pod podłogą sceny a przeto nie zawadza aktorom. Oprócz tego jest w tym teatrze także i to urządzenie; iż sam sufler za pociśnieniem pewnéj sprężyny, może działanie światła zregulować; szkła przy lampach są opatrzone kolorowémi listewkami, przezco niekiedy można efekt powiększyć lub zmniejszyć. Wreszcie przydano jeszcze rząd lamp u góry, a to sprawia iż znika zupełnie ów nieprzyjemny cień, jaki dolne lampy na twarze aktorów], a szczególnie na twarze aktorek rzucają.

Najnowsze odkrycie. Sądzono dotąd powszechnie iż chorzy umiérają prędzéj niż zdrowi; tymczasem Anglicy wyrachowali, iż się dzieje przeciwnie. Wszystkie ich zakłady zabezpieczenia życia nie przyjmowały dotąd chorych; teraz zaś, przynajmniéj w Anglii, przyjmują daleko chętniéj chorych niż zdrowych. Doświadczenie bowiem przekonało iż śmiertelność między chorymi jest daleko mniejszą niż pomiędzy tak zwanymi zdrowymi. Z tego powodu stają się assekuracyje życia chorych osób z każdym dniem liczniejsze i powszechniejsze.

Powaga królewska w Hiszpanii. Pomimo tylu rewolucyj jest tron hiszpański dotąd jakimś dziwnym i prawie religijnym urokiem otoczony, chociaż obyczaje w ogólności do demokracyi się nakłaniają. Tak na przykład, jest wszelkie publiczne wystąpienie królowéj uroczystością, która kilką dniami naprzód zapowiedzianą bywa. Ile razy królowa i jéj siostra infantka do teatru jadą, znajduje się doniesienie o tém na kartkach teatralnych. Natenczas podwyższają dyrektorowie teatrów ceny miejsc, które tą razą są zawsze przepełnione, podczas gdy w innych dniach nikogo zwykle niéma w teatrze. W obecności królowéj bywa cały teatr rzęsisto oświetlony i bogatémi draperyjami przyozdabiony. W chwili, gdy się królowa w swéj loży pokaże, odgrywa orkiestra marsz królewski a wszyscy

obecni witają królowę głośnym krzykiem i szumnémi wiwatami. Z wszystkich lóż i galeryj padają kwitnące gałązki i wianki, i wylatują małe ptaszki, ładuémi wstążkami w rozmaite kolory przystrojone. Oprócz tego podają królowéj na śrebrnéj tacy, wyłożonéj kwiatami, bogato oprawną książkę sztuki, którą mają przedstawiać, i afisz teatralny na jedwabnéj poduszce. Przez cały czas obecności królowéj w teatrze, nie waży się nikt dawać oznak pochwały a tém mniéj nieukontentowania, a podczas międzyaktów wstaje cała męzka i żeńska publiczność, z twarzą ku loży królewskiéj obróconą. — Ilekroć królowa przez Prado się przejéżdża, stają wszyscy spacérujący z odkrytemi głowami, wszystkie powozy się zatrzymują, będące w nich damy podnoszą się i stoją póty, dopóki powoz królewski nie przejedzie.

Wojna. Koszta, jakie każda wielka bitwa za sobą pociąga, wynoszą zawsze kilka millijonów, które w każdym razie są nadaremnie stracone i na nowe dostarczenie zniszczonego w poprzedniéj bitwie materyjału amunicyi, dział, broni, obozowych sprzętów, mundurów, koni i t. d. świéżo wyłożone być muszą. O ile się z publicznych rachunków okazało, kosztowały wojny od r. 1802. do r. 1815. — summę 30 tysięcy millijonów zł. pol., to jest co roku w przecięciu 2304 millijonów zł. pol., nie licząc w to millijony zniszczonych ludzi, koni, domów, drzew i tych wszystkich klęsk, które biédną ludzkość wtedy trapiły!

Targ na kobiéty. W górzystej przez Berbrów zamieszkanéj krainie Benim Socor, w państwie Marokańskiém, znajduje się osada, gdzie się podczas jarmarku osobliwszy handel prowadzi. Jarmark ten odprawia się co roku dwa razy i bywa zwidzany przez nieżonatych mężczyzn, którzy sobie oprócz swej jednéj lub kilku żon, inne jeszcze mieć życzą, jako téż przez dziewczęta i wdowy, które tu mężów chcą znaleźć. Kobiety przedają siebie same; aby to jednak nic wyglądało, jakoby tu ludźmi handlowano, postępuje się przy tém następującym sposobem: Każda ochotniczka stanu małżeńskiego ubiera się w swoje najpiękniejsze suknie, stroi się najstaranniéj, bierze z sobą utkaną przez siebie samę materyję, i siada z tém, bez zasłony, na targu. Młodzi i starzy mężczyźni, szukający małżonek, przechodzą się po targowli, oglądają tkaniny leżące przed wdowami i dziewczętami, i przypatrują się przytém i właścicielkom towarów. Jeźli się która dziewczyna kupującemu podoba, tedy pyta ją co ta tkanka kosztuje a ona wymienia mu potém summę, któréj żąda za siebie, a którą podnosi albo zniża podług tego, jak jej się targujący podoba lub nie podoba. Gdy w żaden sposób swojego kupca za męża przyjąć nie chce, oznacza umyślnie tak przesadzoną cenę, że mężczyzna zaraz odstąpić musi. Już przy tém kupnie może kochanek poznać poniekąd charakter i temperament dziewczyny. Jeźli się zgodzą, natenczas udają się oboje do rodziców dziewczyny, którzy mają prawo zatwierdzić lub zniweczyć zawarty handel. W razie potwierdzenia idą wszyscy do publicznego pisarza, układają kontrakt ślubny, poczém w ten sposób kupiona narzeczona, niezwłocznie do domu swego nowego męża odchodzi. Wdowy są zwykle przy takim handlu po bardzo nizkiéj cenie do nabycia, a rozwódki sprzedają swoją tkankę prawie wpół darmo. Lecz raz kupiona żona nie może być znowu sprzedaną, i otrzymuje wytargowaną przez siebie summę w posagu. Mahometańscy mieszkańcy tamtejsi zaprowadzili ten dziwaczny handel kobiétami oczywiście w tym celu, aby takim sposobem ominąć prawo proroka, który zakazuje wszelkiego starania się i wszelkich miłostek przed weselem.

Nowa opera księcia Poniatowskiego *»Bonifacio da Geromei«* została piérwszy raz w Ankonie przedstawioną i miała tak świetne powodzenie, iż jéj kompozytora, który umyślnie dla dyrygowania orkiestrą tamże zjechał, przy odgłosie nocnéj muzyki, z pochodniami, w powozie do hotelu odprowadzono. Muzyka i hołdy wielbicieli trwały do trzeciéj godziny po północy. Wszystkie loże i krzesła na drugie przedstawienie były już dniem wprzódy rozchwycone.

Gra w karty. Filozof Locke żył w bardzo ścisłéj przyjaźni z najsławniejszymi politykami swojego czasu, do których, jak wiadomo, należeli lord Shaftesbury, lord Halifax, książę Buckingham, i wielu innych mężów równego stopnia i charakteru. Żarty, jakich sobie Locke niekiedy w ich towarzyskiém kole pozwalał, miały taką cechę właściwéj mu otwartości i prostoty, iż już przez to samo zawsze mocne wrażenie na obecnych sprawiały i nigdy prawie celu swojego nie chybiały. Jednego razu zgromadziło się u lorda Shaftesbury, nie tyle dla spraw poważnych jak dla przyjemnego rozerwania się, towarzystwo kilku podobnych panów, z których żadnemu ani na zdolności ani na wiadomościach nie brakło. Ledwie się jednak zwyczajnym sposobem przywitali, zaraz kazano podać karty i rozpoczęła się gra. Locke z-razu przypatrywał się grającym pilnie, a potém wyjąwszy pugilares zaczął z widoczną uwagą coś w nim notować, czego z początku nie postrzeżono. Na końcu jednakże wpadła ta pilność jakiemuś lordowi w oczy i zapytał filozofa: co téż tam zapisuje. »Korzystam ile możności z rozmowy panów,« odrzekł Locke spokojnie; »życzyłem sobie oddawna być czasami obecnym rozmowom najświatleiszych mężów naszego czasu, a dostąpiwszy tego szczęścia, sądzę iż nie od rzeczy będzie, zanotować sobie dla pamięci ich światłe rozmowy; jakoż w istocie, spisałem już od kilku godzin ich treść najważniejszą.« Poznano się na przymówce. Wzięto natychmiast pugilares filozofa i odczytano niektóre próbki śród powszechnego śmiéchu. Każdy z grających przyłożył się własnym dowcipem do powiększenia śmieszności swych słów zapisanych; rzucono pod stół karty i wszczęto rozsądną, godną światłych mężów rozmowę. Trzeba wprawdzie niekiedy pracowitemu rozumowi marną zabawką odpocząć, ale nie godzi się marnéj zabawie brać nieustannie górę nad pracą rozumu!

Wolter i Piron prześladowali się wzajemnie z największą zaciętością. Jednego razu ujrzał Piron przez okno Woltera wchodzącego do swego domu. Pełen zdziwienia, coby ten nienawidzony nieprzyjaciel u niego robił, oczekuje jego wejścia do pokoju — lecz nadaremnie. Słyszał wprawdzie, jak szedł po schodach do góry, jak się zatrzymał kilka chwil przede drzwiami, ale znowu zszedł na dół i wyszedł z domu. Ciekawy Piron idzie do sieni i widzi na swoich drzwiach słowa: *»Fripon — canaille!«* wyraźnie ręką Woltera napisane. — W kwadrans później wchodzi do pokoju Woltera człowiek, który nigdy przez próg jego domu nie przeszedł — byłto Piron. Zdziwiony wzajemnie Wolter, pyta jakiemu trafowi winien ten zaszczyt widzenia go u siebie? — »Powinności, saméj powinności!« odpowiada Piron. »Wróciwszy do domu, zastałem pańskie imię na moich drzwiach napisane i pospieszyłem oddać mu nawzajem wizytę.« Co rzekłszy, wyszedł, nim jeszcze Wolter miał czas do odpowiedzi.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.